

KSIĘGA PAMIĄTKOWA WIELKIEJ WOJNY!

Dzieło to, wydane pod skromną nazwą **Kalendarza „Nowości Ilustrowanych“ na rok 1916**, zawiera ilustrowany zbiór dokumentów obecnej wojny i jej dziejów na ziemiach Polski. Oprócz opracowanej systematycznie historii wydarzeń wojennych (wraz z chronologią), poszczególne działy „Kalendarza“ dają tak w opisach, jak i w fotografiach, wyczerpujący obraz zniszczenia w Polsce, polskiego tła wojennego i działalności bojowej Legionów.

Już tylko niewielka liczba egzemplarzy tego pamiątkowego wydawnictwa, które powinno znaleźć się w każdym domu polskim, jest do nabycia w Administracji „Nowości Ilustrowanych“ po cenie:

1 kor. 50 h. za egzemplarz broszurowany, **2 kor.** za egzemplarz oprawny i **3 kor.** za egzemplarz w płóciennnej, ozdobnej oprawie.

Kronika tygodniowa.

Nie przypuszczałem nawet, że ów pan, który ułożył przysłówie: „Jeżeli Boże Narodzenie po wodzie, Wielkanoc po lodzie“, miał rację. Zaledwie tydzień dzieli nas od świąt, a tu niebiosy urządziły nam niespodziankę, okrywając Kraków śnieżno-białym prześcieradłem, które do wieczora zmieniło swój kolor na brudno-szary. Wobec tego kto wie, czy na rezurekcję nie pojedziemy sauiami, skoro nie mogliśmy tego zrobić w wilię, wybierając się na pasterkę. Jeśli tak dalej pójdzie, to i w Galicyi zachodniej zmienimy kalendarz, po kwietniu będziemy mieć marzec, potem luty, wreszcie styczeń, w Zielone Świąta odbędą się na Bielanach zawody saneczkowe, a na dawny lipiec przypadnie otwarcie miejskiej ślizgawki w Parku Krakowskim i Oleandrach.

A pan Feb w „Kuryerku“ tak się drwiąco uśmiechał, widząc swojego czasu roboty przygotowawcze. Chyba nie miał racji!

Wielki tydzień w wojennym roku 1916 nie jest w niczem podobny do swych poprzedników, rzadko w którym domu robi się przygotowania do świętego, z czego najmniej zadowoleni są amatorowie gratisowej wyzerki i wypitki. Tego roku odpadły też zwykłe ćwiczenia w gimnastyce pokojowej (tarcie maku, obieranie rodzynek, siekanie migdałów i t. d.), które były udziałem ojców rodziny. Skończyło się na uroczystym zawieszeniu świeżych, choć nieco dziurawych firanek, przy której to operacji omal karku nie skreśliłem. Weronika powiada, że to wielka szkoda, jestem bowiem ubezpieczony od wypadku, a pieniądze zdążyłyby się na święta, zwłaszcza, że czynsz za mieszkanie dotąd jeszcze nie jest zapłacony.

We święta więc będziemy tylko łapę lizać i żyć wspomnieniami dawnych, minionych lat, kiedy to stoły nawet chudopachołków uginały się pod ciężarem mis i dzbanów. Tak! Strasznych dożyliśmy czasów, ale pocieszajmy się nadzieją, że i to minie, nastaną lepsze i tłuszczejsze.

Ze względu na niepogodę i śnieg cierpię już od poniedziałku. Jeden z mych znajomych, który właśnie w tym okresie obchodził imieniny, odwołał je, tłumacząc się niepomyślnymi warunkami atmosferycznymi, z tej samej przyczyny nie wyjechałem też do Piotrkowa, dokąd zaprosił mnie na święcone jako jeden z mych przyjaciół politycznych (zapomniał jednak podać bliższy adres, bojąc się zapewne, bym mu na kark nie zjechał).

Zazdroszczę swoją drogą Piotrkowianom, że mogą sobie pozwolić na taki zbytek, jak święcone jako! Dawniej raczono się u nas we święta różnymi świ-

skimi i nieświńskimi delikatesami, dziś wystarczy powiedzieć, że szynka kosztuje prawie sto koron, za indyka płaci się tyle, co dawniej za strusia, gęsi kupuje się na wagę złota, a zwykła kura dochodzi w cenie do trzydziestu koron! Nic też dziwnego, że wobec tego przewróciło im się wszystkim w głowie, kury nie chcą jaja znosić, a gęsi i kaczki chodzą nade, niczem pawie...

I jak to długo jeszcze potrwa?... Jeśli kto wie, niechaj puści parę, a zyska sobie ogólną wdzięczność społeczeństwa. Jeszcze za życia wystawimy mu pomnik, gdyby zaś przypadkowo umarł, czego mu jednak nie życzyć, pochowamy go na koszt miasta w grobie zasłużonych. Pan Asquith (oby za to z piekła nie wylazł!) twierdzi wprawdzie, że wojna potrwa jeszcze przynajmniej pięć lat, ale ja temu nie wierzę, bardziej podoba mi się przepowiednia owego chłopca, który zaręczył, że koniec będzie jeszcze w tym roku i to w miesiącu, zaczynającym się we wtorek. A takim miesiącem, jak sprawdziłem na własne oczy w kalendarzu, będzie sierpień. Czekajmy więc, a przekonamy się, kto miał rację.

Z kolei rzeczy muszę teraz poruszyć kilka piekących spraw, które jednak traktować będę zupełnie na zimno, jak na zrównoważonego obywatela przystało.

W pierwszym więc rzędzie muszę się pochwalić, że mam już kartę cukrową, niestety nie mam jednak cukru, choć codziennie odwiedzam po dziesięć sklepów. Wszędzie powiadają jedno i to samo: „Cukier jeszcze nie nadszedł, jest już w drodze!“ Czekam więc cierpliwie, a tymczasem chodzę od trafiki do trafiki, prosząc o tytoń i dowiaduję się, że także jest w drodze. Aby tę miłą wiadomość usłyszeć, musiałem pod trafiką pana Bujańskiego stać na deszczu dwie i pół godziny, zanim na mnie przyszła kolej. Udało mi się natomiast kupić dwa pudełka zapalek, z czego jestem bardziej dumny, niż gdybym znalazł dyament, wielkości gęsiego jaja. A schowałem je troskliwie, nadejść bowiem może czas, że jedna zapalka będzie kosztować koronę. Wówczas zrobię na tem brylantowy interes, niczem ś. p. Zabłocki na mydle.

Ledwie się z tem załatwiłem, miałem potem do czynienia z owym nieboszczykiem z Półwsia Zwierzynieckiego, który zgłosił się w Redakcyi z prośbą, by mu dać spokój, aczkolwiek bowiem opis całego zajścia był najzupełniej zgodny z prawdą, nekają go ciągle znajomi i przyjaciele pytaniami:

— Panie łaskawy! Wiec to pana zabito?

— Panie drogi! Więc pan na prawdę żyje?

Obiadu zjeść spokojnie nie może, na ulicy się nie pokazuje, gdyż każdy, kto go spotka, znajomy, czy nieznajomy, trąca drugiego, idącego obok, kieruje wzrok w jego stronę i mówi:

— Patrz! Idzie nieboszczyk...

Tłumaczyłem się, jak mogłem, obowiązkiem kronikarskim, ostatecznie dał się przekonać, gdy mu przyrzekłem solennie, że się to już nigdy nie powtórzy. Chyba...

— Żadne chyba! — przerwał — Albo pokój między nami, albo wojna. Wybieraj pan!

I podał mi dwa fałdy swej peleryny, a ja, rzecz prosta, wybrałem pokój.

Potem znów nowy kłopot i to do tego nie byle jaki. Chodzi mianowicie o ów „Krzyk za dzieckiem“, o którym wspominałem w poprzedniej kronice na samym jej wylocie, co jest pewnym znakiem, że do tego materiału w swoim czasie jeszcze powrócę. Różne matki i kandydatki na matki zasypują mnie formalnie listami, prosząc, bym się wywnętrzył, jak się na tę kwestję zapatruję. Ja jednak na tem się nie znam, to nie jest mój referat, odnośny zaś pan, który się temi sprawami zajmuje, jest właśnie na urlopie. Czekam więc, aż powróci, a wówczas we dwu zabierzemy się do rzeczy. Będzie to prawdziwie fachowy duet, który zadowoli chyba ogół Czytelników.

To tylko najgorsze, że niektóre z pań, zapewne przez pospiech, zapominają frankować listy, wobec czego musi Administracja nasza płacić podwójne porto i obciąża niem moje konto, twierdząc słusznie, że skoro listy są adresowane do kronikarza, on powinien ponosić wszelkie konsekwencje.

Najbardziej podobają mi się owa niewiasta, która w przypisku do listu zawiadamia mnie, że już po wrzuceniu go do skrzynki przypomniła sobie z prawdziwym żalem, że nie nalepiła marki, przeprasza mnie więc serdecznie i obiecuje zwrócić pieniądze przy sposobności odnowienia prenumeraty.

Co za znakomity materiał na naiwną! Podobno jest w teatrze wolne miejsce, radziłbym jej, niech się zgłosi, zgłoszenie niechaj jednak raczy przesłać w liście opłaconym.

I myślicie może, zacni Czytelnicy i Wy, nadobne

Czytelniczki, że na tem koniec mych wielkopostnych kłopotów?... Jeśli tak, to jesteście w błędzie. mnożą się bowiem z dnia na dzień, niczem grzyby po deszczu.

Ot, kilka dni temu otrzymałem kartkę od żolnierzy krakowskich z Kromieryża z prośbą o przysłanie im kolendy. Niestety! Kolendę daje się w Boże Narodzenie, nie na Wielkanoc, choć ostatecznie i teraz dałbym, gdybym jednak miał! Jestem goły, niczem turecki święty i to taki pierwszej sorty, z próżnego zaś nawet Salomon nie należy...

Następnie znowu jakiś młody kandydat na poetę pisze do mnie, bym mu raczył udzielić fachowej wskazówki, co trzeba czynić, aby móżdż pisać wiersze. Prosi też, bym mu podał podręczniki, z których mógłby korzystać. Odpisałem, że chcąc być poetą, trzeba mieć pióro, papier i atrament (o natchnienie mniejsza!), nieodzownym zaś podręcznikiem dla każdego szanującego się kandydata na „rymarza“, są „Prawidła pisowni polskiej“, wydane przez krakowską Akademię Umiejętności. Nizka cena, bo tylko dwadzieścia halerzy, umożliwia nabycie nawet mniej zasobnym. Ostatecznie można nawet taniej nabyć na Szpitalce.

W każdym razie radziłbym owemu panu, by sobie dał z poezją spokój. To teraz nie popłaca, zwłaszcza, że wierszobobów, którzy potrafią pisać o wszystkim, jest z dnia na dzień coraz więcej. Wystarczy powiedzieć, że w Redakcyi mamy osobnego służącego, który zajmuje się przez dzień cały opróżnianiem specjalnego kosza redakcyjnego, przeznaczanego na pomieszczenie niedonoszonych płodów Muzy różnych młodych i starych kandydatów i kandydatek na Parnas. Ubiegłą zimą paliliśmy w piecu ich utworami. Dają wprawdzie mało ciepła, ale zato dużo dymu, co się równoważy. Gdyby nie to, że w *Nowościach Ilustrowanych* nie pomieszczamy poezji, nie zaszkodziłoby wcale, gdyby się tak od czasu do czasu wydrukowało jaki utwór, jako ostrzeżenie dla innych, że się tak pisać nie powinno.

Jeszcze gorsze są kłopoty zwłaszcza z autorkami, które same się zgłaszają do Redakcyi, błagając tylko o chwilkę cierpliwości, chciałyby bowiem odczytać swe utwory i prosić o łaskawą ocenę. Tłumaczmy się zwykle brakiem czasu, gdy to jednak nie pomaga, któryś z nas musi się ofiarować, co mu kiedyś policzonem będzie, jeśli nie w tem życiu, to bodaj w przyszłym.

Zwłaszcza odkąd weszły w modę wielkie zarekawki i torby i torbeczki, każda z autorek nosi ze sobą całą bibliotekę swych utworów i biada ci, jeśli bodaj połowy nie wysłuchasz. Powie, żeś gbur nieokrzesany, człowiek pozbawiony wszelkich ideałów...

Jeśli pochwalisz, toś wpadł z deszczu pod rynnę, zacznij cię bowiem prosić, byś się postarał o wydrukowanie.

— Zacny redaktorze! — jęczy taka pani — Ja nie żądam za to honorarium! Wydrukujcie, a przekonacie się, jak wzrośnie poczytność waszego pisma...

Nie pozostaje ci nic innego, jak obiecać, a po tem tłumaczyć się, że nie zamieściłeś z powodu braku miejsca i nawału materiału aktualnego.

Czasem uwierzy, ale częściej nie!

Gdybym drugi raz przyszedł na świat, nie chciałbym być publicystą, na razie przecież pogodzić się muszę z garbatym losem, ale proszę Czytelników o łaskawe współczucie, a co za tem idzie i o wyrozumiałość, że nie zawsze spisuję się tak, jakbym może powinien.

Zaledwie siedm wierszy druku pozostało mi na złożenie Czytelnikom, a zwłaszcza Czytelniczkom życzeń „Wesołego Alleluja“. Im jednak będą one krótsze, tem będą serdeczniejsze. Zyczę „na sucho“, nie dzieląc się z nikim jajkiem święconem, bo to dziś zbyt, na który mnie nie stać. Przyjmijcie je Państwo z takim sercem, z jakim je niosę!

Znana fabryka zegarków Max Böhnell, Wiedeń IV. Margarethenstrasse 27/62 zawiadamia nas, że pomimo podniesienia cen o 50 do 80% posiada zapas zegarków po starej cenie, które jednak będą wysprzedane. Każdy Czytelnik naszego pisma otrzyma duży ilustrowany katalog darmo i opłacony. Kartką pocztową wystarczy zawiadomić firmę.

Kalodent

Krem do zębów

90 halerzy.